

## Aleksander Temkin: O diabelskim oszustwie i magicznym nawróceniu

Nawrócenie w Zbrodni i karze jest zapomnieniem o zostawionym za sobą świecie, pogodzeniem się z tym światem, z którym poprzednio tak się mocowało – jest samym tym zapomnieniem, zapomnieniem o swoim społecznym i finansowym warunku – pisze Aleksander Temkin w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Przeciwnik.

*Legenda o Teofilu z Adany*, jedna z wczesnych historii o pakcie z diabłem, otwiera się i zamyka oszustwem. Najpierw oszukuje diabeł. Sprzedając urzędy kościelne i siedem lat mocy czarnoksiężskiej w zamian za nieśmiertelną duszę Teofila, podaje mu nieuczciwą cenę i jest to oszustwem. Po siedmiu latach diabeł zostaje oszukany. Teofil, w ostatniej chwili lub tuż przed wyznaczonym mu czasem, zwraca się do Maryi, która wstawia się za nim i odbiera go diabłu. Co jest oszustwem zarazem podwójnym, jeżeli liczyć dokładnie, oszustwem trzecim. Maryja przewraca porządek transakcji, wtrąca się w transakcję, formalnie przecież nienaganną, gdyż „chcącemu nie dzieje się krzywda”. Ten schemat potrójnego oszustwa zostaje podkreślony w *Fauście*. Diabeł oszukuje Fausta, podsuwając mu pragnienia. Faust nie jest uczciwy wobec zawartej umowy, a nieuczciwość Boska woła już o pomstę do nieba. Wcześniejsze wersje Fausta podkreślają raczej ciągłość porządku, wewnętrzną ciągłość i logikę transakcji, którą Faustus chce, ale boi się wyrzucić. I poza oszustwem diabelskim, we wczesnonowożytnych wersjach historii nie dochodziło do kolejnego oszustwa. Natomiast *Zbrodnia i kara* jest historią o oszustwie

wielokrotnym, choć fabularnie zatartym. Swidrygajłow – to pedofilski Faust, Mistrz Twardowski pojednany z petersburską lumpenproletariacką glebą pod koniec siedmiu lat przyznanej mu mocy. Oszukuje go diabeł, który jest substancją społeczną, powiedzmy: Petersburgiem. Diabła próbuje oszukać na własną rękę Swidrygajłow, ale oszustwo to podsunięte mu jest przez oszusta w zastępstwie prawdziwego oszustwa. Diabeł został już dawno oszukany i można go oszukiwać tylko w ten sam starożytny sposób, który został dla nas do czasu otwarty.

Historia Swidrygajłowa jest więc historią oszustwa oszukanego, oszustwa prawie udanego. Magik nigdy nie oddaje się diabłu bez nadziei na oszukanie go dzięki mocy od diabła pozyskanej. Tylko że skrzyżowanymi palcami czarnoksiężnik składa mu przysięgę. Oszustwo dotyczy w każdym wypadku (w historii Teofila, Faustusów, Fausta i Swidrygajłowa) zarazem działań, jak i nieruchomości. Jest próbą wyłudzenia. Pozyskiwana jest pewna struktura duszy, podmiotu lub urzędu, a zarazem energetyczny, popędowy splot, w którym struktura ta się staje. Ale popęd jest mną, a zarazem tym, nad czym nie panuję, znakiem, że byt samoświadomości pożyczony jest od społecznej substancji, że jest popędzany popędem należącym do diabła. I struktura samoświadomości, i popęd ją popędzający należą się jednemu Panu, którego daremnie próbuje oszukać czarownik.

Na czym polega relacja między substancją i magikiem, tj. między oszukującymi się oszustami, poza tym że się nawzajem oszukują?

Wszystkie moce, które chce osiąść czarownik, wszystkie doświadczenia seksualne i turystyczne muszą być świeże, niepowtarzalne i społecznie niezapśredniczone. Wiadomo: jest to warunek diabła i życzenie Fausta zarazem. Diabeł zawsze zakazuje Faustom się wiązać, a Faust zawsze zarazem nie życzy się wiązać, lecz spontanicznie chce tego, czego chce od niego diabeł. Słowem: pragnienie niezapśredniczenia jest właśnie diabelsko zapśredniczone.

To jednak bardzo nudny wynik i tak skwitować można wszystko. Frankfurcka krytyczna krytyka krytyki w swoich gorszych chwilach zajmowała się takimi rozpoznaniem. Skoro posługujemy się takimi pojęciami jak „zapśredniczenie”, to powiedzmy, że magik wcale nie chce z niego zrezygnować. Chce uzyskać władzę nad splotem energii i układem gwiazd, który go wyłania. Magik widzi nieskończoność warunków decydujących o zaistnieniu jego kruchego kształtu i tę nieskończoność w sobie zawraca. (Powiedzmy, że imperatyw kantowski, wyłaniający w sobie odgranieczoną ogólność, odgranieczoną hipotetyczną wieczność stwarzaną przez przyjęcie określonej maksymy jest podobną, zaklinającą ogólność operacją. Podobną, ale właśnie inną i nie-magiczną). Magik zakreśla w pentagramie granice ogólności, która go wyłania i zakreślając, znosi jej zapśredniczenie. Łapie w ten sposób światło do próbówki, co wbrew szydercom okazało się możliwe. Pentagram jest fotonową pułapką, w którą ma wpaść łaska. Splot energii wyłaniający magika koncentrowany jest w pojęciu łaski. Czarnoksiężnik chce magicznie zapanować nad udzielaną mu zewnątrz łaską. Jeżeli więc łaska udzielana jest akcydensom w autoerotycznym kolistym ruchu substancji, to zapanowanie nad łaską, wchłonięcie w siebie swej podstawy, zakłęcie w siebie swojego popędu dokonuje się przez umieszczenie swojego autoerotyzmu w miejscu

autoerotyzmu społecznej substancji. Wymaga to wytworzenia w sobie właściwego autoerotyzmu i narzucenia sobie autoerotycznej dyscypliny. To oczywiście w XIX i XX wieku dało się jakoś robić, począwszy od „Dlaczego jestemprzeznaczeniem”, ze skutkami zawsze zbliżonymi do przypadku Swidrygajłowa.

Czas powrócić do nudnego postfrankfurckiego skwitowania.

Nietzscheaniści to beliałka w kałdunie Lewiatana. Faust od początku był nowoczesnym ideałem. Każdy ambitny mieszczanin przymierza się do roli Fausta. Po co kolejny raz omawiać pierwiastek przygodowy i bezwzględny w kapitalizmie? Że „wszystko co stałe” etc. to wiadomo, lecz słusznie Boltanski więcej wywodzi z tego związku – że przygoda i bezwzględność są funkcją legitymizacji praktyk ekonomicznych, że są jawnym ideałem i jawną normą. Mieszczanie od początku wiedzą o sobie, że tacy są, że tego pragną, i uczą się siebie takimi z kolejnych filmów i książek. Skoro powszechnie wiedzą (bo o sobie czytali), i wiedzą o tym, że to wiedzą, to bezwzględność tego apetytu wzbudza sama społeczna substancja. Niby szachruje się substancję, szachruje się diabła, a to ona nam się w tym udziela. Faust jest nieskończenie pobudzany arcymieszczaninem, ulubionym, wypieszczonym mieszczańskim dzieckiem substancji. Że pokusa oszukania substancji jest immanentna wobec samej substancji, wobec obyczaju, że substancja właśnie oszukuje czarnoksiężnika, tak go kusząc, taki od zawsze był morał tej historii. A że pokusa ta jest substancji immanentna i dla wszystkich oczu jawna, prawdziwa wina magika polega na tym, że widząc, że jest oszukiwany, chce być oszukiwany. I to jest druga część morału. Od zawsze jednak morał był niedopowiedziany; wypowiedzmy go, bo przecież jest warunkiem wszystkiego, co zostało tu powiedziane: w historii czarnoksiężskiej społeczny bóg i diabeł pomagający w oszustwie są przecież jednym i tym samym. Może i dlatego, znając tylko część morału, bohaterowie

tych historii liczą na to, że zbieżność ta się nie domknie, że odwołają się w ostatniej chwili do społecznego boga przeciw społecznemu diabłu.

Dowodem zatartej zbieżności społecznego boga i społecznego diabła jest relacja między łaską a kredytem w *Zbrodni i karze*. Koniec powieści jest oczywiście w zły sposób niepsychologiczny, nieprzekonujący, arbitralny, etc. A jednak nawrócenie Rodiona nie spada tak znowu prosto z nieba, za wszystkim stoi cierpliwa, asystująca obecność Sonii Marmieładowej. Ale skąd ona właściwie tak daleko na Syberii? A przecież wiemy, że nie posiada oszczędności, za małą ma klientelę, zbyt słaby obrót w pracy. Pieniądze, za które zbawia się Raskolnikow, pieniądze, za które Sonia porzuca prostytutkę, to są złe pieniądze, pieniądze Swidrygajłowa. Dzięki tym samym pieniądzązom, których wystraszyła się wcześniej – że powiązane są z morderstwem na Marfie Pietrownie – Dunia Raskolnikowa. Sonia nie zna Marfy Pietrowny, skrupułów takich nie ma, choć przecież wzdrygała się wcześniej na myśl, że pieniądze ofiarowane przez Raskolnikowa na pogrzeb ojca mogłyby pochodzić z morderstwa. Inny kapitał nie istnieje; to dość zdroworozsądkowe, że tylko zły ma pieniądze, którymi może posłużyć się nawet tak arbitralna, pozornie arbitralna łaska. W rezultacie nawróceniu towarzyszy rzetelna finansowa podkładka, każąca nieco bardziej realistycznie przyjrzeć się jego rzeczywistym warunkom. Raskolnikowowi dzięki niebywałemu szczęściu udaje się zamordować, ale nie udaje mu się nic ukraść – musi więc wziąć na nawrócenie pieniądze od Swidrygajłowa. To nie są inne, czyste pieniądze, lecz te same, co pozostały pod kamieniem. Inny kapitał nie istnieje – jednak pierwszy milion można ukraść, lub można pożyczyć. Jednak ukraść go, znieść zapośredniczenia, się nie da. Możliwość kredytu jest największym, najważniejszym problemem tego świata. Tak więc zarówno powodzenie morderstwa, jak i sama idea Raskolnikowa

przychodzą do niego na społeczny kredyt. Zaskakująca arbitralność zakończenia próbuje zamaskować fatalistyczną beznadziejność *Zbrodni i kary* – na tle, na przykład, *Braci Karamazow* – diabelską ogólność można tylko pożyczyć, prawdopodobnie na złodziejski procent. Pamiętajmy przy tym, co jest stawką tego nawrócenia – jest nią koniec „epoki odosobnienia”, możliwość komunikacji. Opiera się więc ona na diabelskim kapitale. Jest on jedyną realną postacią ogólności. Jest on jedyną skuteczną formą współczucia. Jest nienasycony – jak Sonia. To on jest upadłą duszą świata.

Na ile Raskolnikow jest tego świadomy? Bez tych pieniędzy nic by się nie zdarzyło, nie byłoby nawrócenia; lub też – czytelnik nie chciałby już, by Raskolnikow się nawracał. Wyobraźmy sobie, że nawrócenie nastąpiło, ale pieniędzy tych nie ma – co wtedy? Bez owych funduszy nawrócenie Raskolnikowa miałoby całkowicie upiorny, opaczny wręcz charakter. Sonia Marmieładowa porzucić zawodu nie może – jest człowiekiem, który „nie ma gdzie już iść” – kariery długiej, choćby chciała, nie robi – nie jest paryską kurtyzaną, tylko petersburską młodą prostytutką. Raskolnikow słusznie przepowiada jej szpital za lat parę, spadnięcie w zawodowej pozycji, a potem śmierć. Raskolnikow oczywiście z przyjemnością znęca się nad Sonią. Pyta ją o dzieci, jak one skończą, czy tak samo nie pójdą na ulice, czy po zejściu umierającej na gruźlicę Katarzyny Iwanowny po prostu nie umrą z głodu. Pieniądze z morderstwa – dokładnie tak, jak chciał Raskolnikow – oszczędzą im ulicznej kariery.

Założmy jednak, że rola Sonii w przełamaniu zatwardziałości Raskolnikowa była drugorzędna. Sonia zostaje więc w zawodzie, zaraża się, dostaje w łapy coraz gorszych klientów, umiera – pobita, lub na syfilis; Raskolnikow nawraca się, otwiera na ludzkość. Na jaką

ludzkość? Żeni się z Łużynem? A czym by się to różniło od nietzscheańskiego „ja-sagen”? Wyobraźmy sobie rozmodlonego Rodię Romanycza, powtarzającego „Bóg dał, Bóg wziął” pośród wulgarnie wymalowanych szminką istotek, po pół roku potężnie już sfatygowanych odpowiednimi chorobami. Takie nawrócenie byłoby w rzeczywistości ohydny sztyderstwem z nawrócenia. Widać chyba, że prawdziwym cudem nie było nawrócenie, ale spadłe z nieba – raczej skądinąd – pieniądze.

Jeżeli nawrócenie ma swoją cenę, swój procent, to jest nim warunek jaki stawia diabeł posiadaczowi zaczarowanego rubla w rosyjskiej bajce o pieniążku powracającym wciąż do właściciela. Nawrócenie nie może zostać dokonane w celach społecznych. Raskolnikowowi pozwolono się nawrócić, tylko o ile nawrócenie pozostaje zupełnie jałowe w wymiarze społecznym. Niechby tylko spróbował zostać Razumichinem. Nawrócenie jest zapomnieniem o zostawionym za sobą świecie, pogodzeniem się z tym światem, z którym poprzednio tak się mocowało – jest samym tym zapomnieniem, zapomnieniem o swoim społecznym i finansowym warunku. Jeżeli więc te wszystkie moce, które chce osiąść „Faust”, doświadczenia i pragnienia, chce i musi osiąść jako niezapośredniczone, to nawrócenie Raskolnikowa, pozornie pozbawione zapośredniczenia społecznego, jest nawróceniem magicznym.

*Aleksander Temkin*